

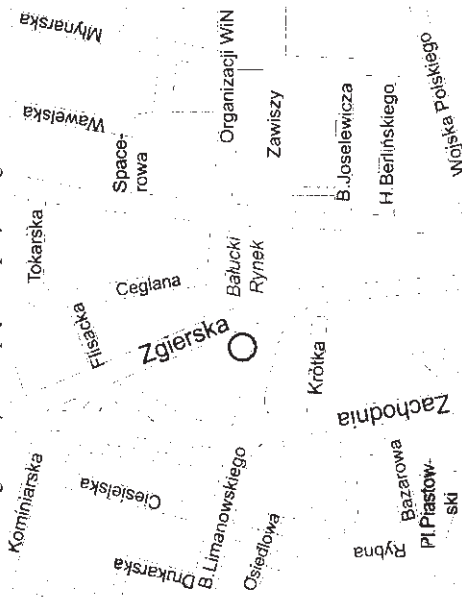
Schupo i gestapo ul. Limanowskiego 1 (Alexanderhofstrasse)

W narożnym budynku, który istnieje do dziś, w czasie wojny mieściła się siedziba ekspozytury łódzkiego gestapo, a także VI rewiru Schupo (policji ochronnej). Stąd sprawowany był nadzór polityczny i policyjny nad gettem.

Schupo pilnowało porządku. Strzegło, aby nikt nie uciekł z getta, ani nie wszedł nielegalnie na jego teren. Komendantowi VI rewiru Schupo podlegały wartownie getta. Było ich pięć: I – przy zbiegu ulic Podrzecznej i Zachodniej, II – przy Franciszkańskiej i Smugowej, III – przy Spornej i Boya-Zeleńskiego, IV – przy Inflanckiej i Zagajnikowej oraz V – przy Okopowej i Franciszkańskiej. Poza tym wartownie znajdowały się wzdłuż granic getta, a także wydzielonych ulic: Zgierskiej i Limanowskiego. Posterunki ustawione były co 50-100 metrów. Od 1942 roku liczba posterunków zmniejszyła się, ustawiono je nawet co 400 metrów. Wokół getta umieszczono zapory i zasieki z drutu kolczastego. Wartownicy doskonale widzieli, czy nikt się nie zbliżał do granicy getta.

Funkcjonariuszy Schupo w pilnowaniu getta wspierały najpierw specjalne jednostki policji i SS, a na przełomie 1940/1941 – batalion policji z Hamburga. Od kwietnia 1941 roku działał specjalny batalion policji porządkowej złożony z blisko 600 funkcjonariuszy.

Niektórzy z nich strzelali do Żydów zbliżających się do granic getta czy choćby idących wzdłuż zasieków. W ten sposób zabili wielu ludzi, gdyż nie musieli się z tego tłumaczyć. Według zarządzenia komendanta Schupo z czerwca 1941 roku funkcjonariusze mogli strzelać do każdego Żyda usiłującego opuścić getto bez ostrzeżenia. Ten rozkaz był często nadużywany.



Funkcjonariusze Schupo przejmowali na Bałuckim Rynku transporty Żydów przybywających do getta. Przy udziale gestapo konfiskowali mienie, głównie pieniądze i biżuterię. Często robili to bardzo brutalnie.

Już w kwietniu 1940 roku w tym samym budynku przy ul. Limanowskiego 1 dwa wydzielone pokoje zajmowała tajna polityczna policja państwowa, czyli gestapo. Od końca 1941 roku gestapo realizowało polecenia Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w sprawie tzw. ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. To funkcjonariusze gestapo brali bezpośredni udział w akcji przesiedlenia tysięcy Żydów z Kraju Warty oraz z Europy Zachodniej do łódzkiego getta, a potem sukcesywnego wysyłania ich do Chełmna nad Nerem i Oświęcimia. Gestapo stosowało terror, aresztowania, egzekucje. Miało swoich konfidentów na terenie getta. W realizacji polityki eksterminacji pomagały im inne formacje hitlerowskiej policji i SS oraz żydowska służba porządkowa, zwłaszcza jej specjalny oddział, tzw. Sonderkommando.

Na tym budynku w 40 rocznicę likwidacji łódzkiego getta mieszkańcy Łodzi umieścili tablicę przypominającą tragedię 200 tys. Żydów i 5 tys. Cyganów.

Do lokalu VI rewiru policyjnego, mieszczącego się poza gettem w gmachu przy zbiegu ul. Limanowskiego i Zgierskiej, któremu podlega getto, zawezwani zostali komendant SP p. Rozeblat i adiutant komendy inż. Grosbart. Władze niemieckie odbyły z nimi konferencje o charakterze informacyjnym w związku z objęciem służby wartowniczej dokola getta przez inną obsadę policyjną Schupo. Ze strony niemieckiej brali udział w konferencji tutejsi oficerowie policyjni oraz przedstawiciele komendy policji z Radomia. Zażądano od komendanta SP przedłożenia szczegółowego raportu dotyczącego organizacji SP, planu getta, podziału jego na rewiry, wyszczególnienia kompetencji Przełożonego Starszeństwa Żydów, stanu zdrowotnego mieszkańców, adresów wszystkich urzędów i instytucji gminnych, gęstości zaludnienia poszczególnych dzielnic i szeregu cyfr statystycznych.

Kronika getta łódzkiego, 7 kwietnia 1941, t. 1, s. 118.



Zmiana warty na ul. Zgierskiej.

Mosty getta

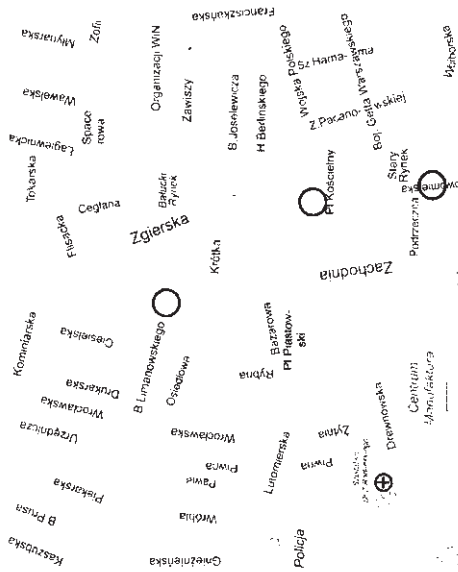
Zgierska – Masarska (nie istnieje) – Podrzeczna (Hohensteinerstrasse – Storchengasse – Am-Bach)

Od początku z getta wyłączone zostały ulice Zgierska i Limanowskiego. Były to ważne arterie komunikacyjne, które należały do aryjskiej części Litzmannstadt. Jeździły nimi tramwaje i samochoły, przejeżdżali rowerzyści. Dlatego getto – przecięte tymi ulicami – zostało rozdzielone na trzy części. Najpierw w określonych godzinach otwierane były specjalne bramy, którymi mieszkańcy mogli przechodzić z jednej części do drugiej. Bramy były trzy, dwie przy ul. Zgierskiej: przy przecięciu Drewnowskiej obok Starogo Rynku oraz Dolnej-Lotniczej, a trzecia przy Limanowskiego, między Rybną a Ciesielską. Ponieważ było to bardzo uciążliwe, już latem 1940 roku wybudowano dodatkowe trzy drewniane mosty, które łączyły części getta i pozwalały ludziom przechodzić przez cały czas nad ulicami.

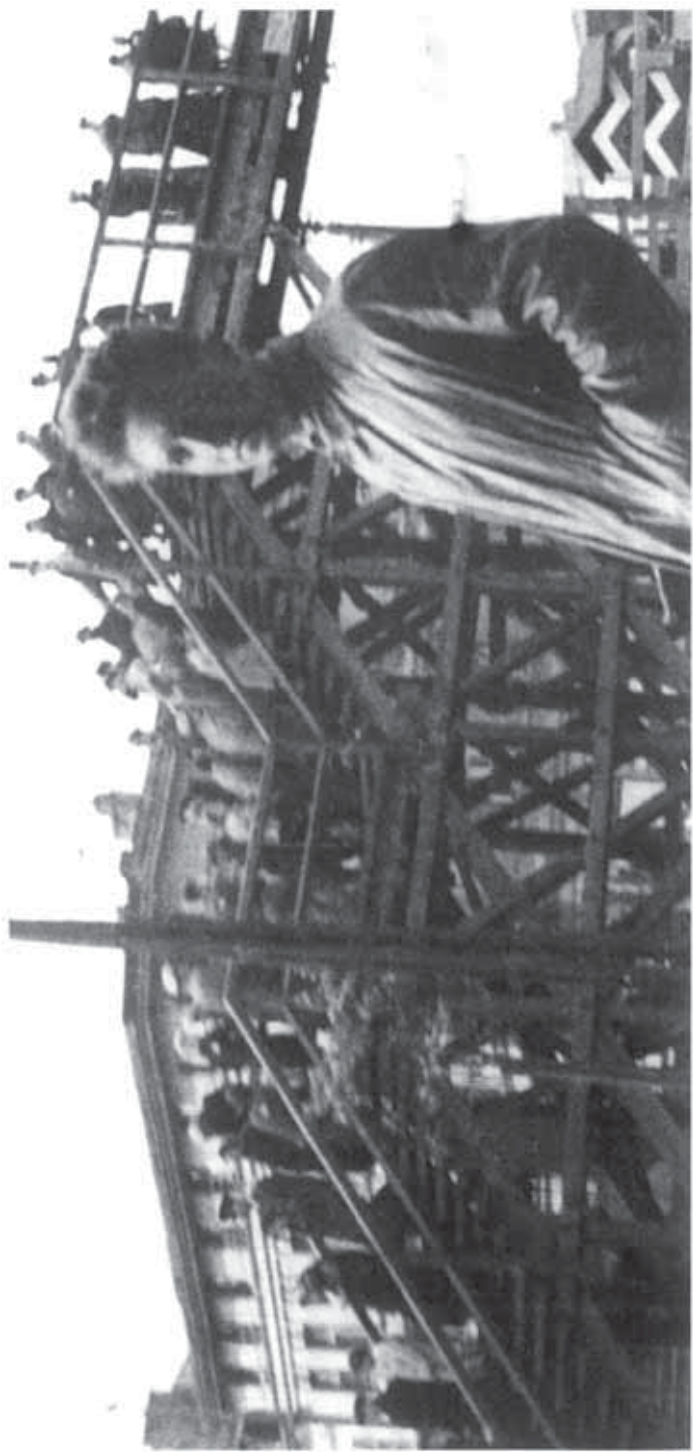
Jeden z mostów znajdował się nad ul. Zgierską przy Lutomierskiej, tuż obok kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, drugi nieco bardziej na południe – przy ul. Podrzecznej, trzeci – nad ul. Limanowskiego przy Masarskiej (w miejscu, gdzie dziś jest ul. Zachodnia).

Ulice Zgierska i Limanowskiego były fragmentem innego świata, do którego ludzie z zamkniętej dzielnicy nie mieli dostępu. Wejście na most stanowiło okazję do spojrzenia na świat poza gettem. Było to również miejsce wielu samobójstw.

Mosty z łódzkiego getta, zwłaszcza ten przy kościele Wniebowzięcia NMP, pozostały na wielu archiwalnych fotografiach, rysunkach i obrazach. To jeden z najlepiej rozpoznawalnych symboli tamtych tragicznych wydarzeń. Stały się symbolem łódzkiego getta.



Fotograf getta Mendel Grosman, w tle most nad ul. Zgierską przy placu Kościelnym.



Przejście przez ów most stanowiło niemały wysiłek, dla jednych fizyczny, dla drugich psychiczny. Ludziom starszym, schorowanym, ostabionym – strome stopnie mostu sprawiały, szczególnie zimą, dużą trudność. Stojąc zaś na moście i patrząc w kierunku południowym, miało się perspektywę na część Zgierskiej, Nowomiejskiej i Piotrkowskiej, które prostą linią przecinały miasto. W perspektywie tej jedni starali się odszukać elementy życia wielkomiejskiego, innymi ślady życia w kosmosie, a inni z nostalgią w rysujących się z dala konturach śródmieścia odnajdywali zaprzęży normalności, normalność często szarą, pustą, nijaką, w której żyli rzadko kiedy szczęśliwi, nie przewidyując, jak różne oblicze może mieć szczęście... Potem schodziło się w dół i po prawej stronie miało się kościół Najświętszej Marii Panny, której patronkę Niemcy wysiedlili jak zwykłą Żydówkę ze Wschodniej.

Arnold Mostowicz, Żółta gwiazda i czerwony krzyż, s. 24.

Wydarzył się dziś fatalny wypadek. Na ulicy Limanowskiego, której jezdnia jest wyłączona z getta, dziesięcioletni chłopiec w zabawie cisnął kamieniem poprzez druty na drugi trotuar i trafił w przejeżdżający tramwaj, w którym wybił szybę. Natychmiast zabroniono Żydom chodzić po zadrutowanych ulicach, chłopca za to brała na razie żydowska policja, a Rumkowski latał jak szalony. Oby nic z tego złego nie wynikało.

Dziennik Dawida Sierakowiaka, 1 czerwca 1941, s. 26.

Czasami zabierałam Rysię na spacer na ulicę Zgierską, wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego i przez most, spinający dwie części getta. Gdy stałyśmy na moście, opowiadałam Rysi o placu Wolności znajdującym się przy wylocie ulicy Zgierskiej i o pomniku polskiego bohatera, który Niemcy wysadzili w powietrze.

A tam, ciągnęłam, zaledwie trzy domy dalej, stał dom moich rodziców, w którym byłam tak szczęśliwa.

Któregoś dnia, gdy stałyśmy na moście Rysia spytała, czy Żydzi przed wojną wyglądali inaczej niż teraz i czy kiedykolwiek przypominali ludzi wyznania niemieckiego. Kiedy nie zrozumiałam, o co jej chodzi, zaczęła się denerwować i zażądała, abym opisała, jak dokładnie wyglądają Polacy i Niemcy. Ustyszawszy, że właściwie nie ma żadnej różnicy między nie-Żydami a Żydami, zamyśliła się na chwilę i w końcu spytała: – Więc dlaczego oni odgradzają się od nas?

Na to nie potrafiłam jej odpowiedzieć, gdyż sama sobie nieustannie zadawałam identyczne pytanie.

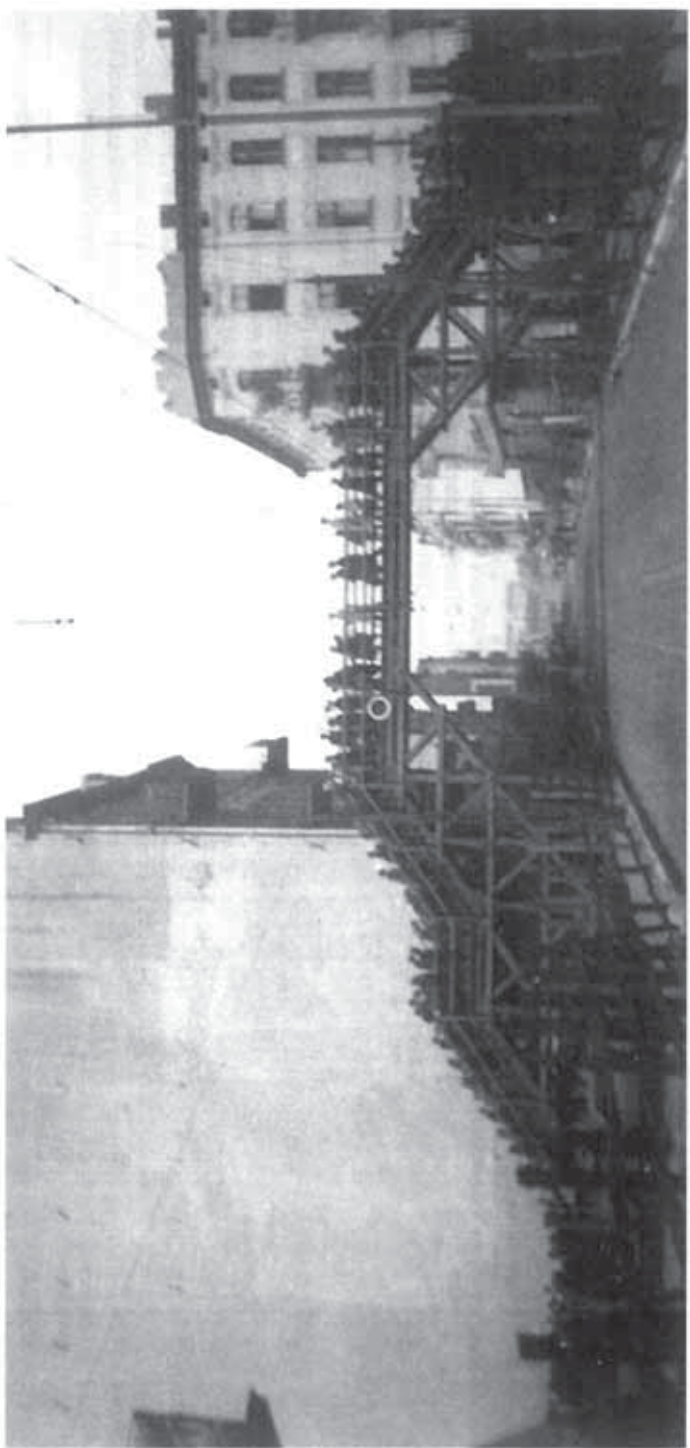
Sara Zyskind, Skradzione lata, s. 144.

Na skutek obfitych opadów śniegu, w getcie i poza jego obrębem doszło do zakłóceń w ruchu ulicznym. Właszcza mosty na terenie getta były tak zatłoczone w związku z utrudnionym przechodzeniem, że można było tamteży przepuszczać tylko po jednej osobie i w rezultacie wielu robotników i urzędników przybyło do pracy z godzinnym opóźnieniem.

W mieście z uwagi na zaspę śnieżną trzeba było wstrzymać ruch tramwajowy; po raz pierwszy więc zdarzyło się, że Niemcy i Polacy musieli iść pieszo ulicą Zgierską i Limanowskiego. Obserwowało się niecodzienny widok – aryjczycy szli jezdnią, Żydzi zaś chodnikami.

Kronika getta łódzkiego, 3 grudnia 1942, t. 2, s. 417.

Most przy kościele Wniebowzięcia NMP.



Kripo (Kriminalkommissariat Getto)

ul. Kościelna 8/10 (Kirchgasse)

W budynku parafialnym kościoła Wniebowzięcia NMP w czasie wojny mieściła się siedziba komisariatu policji kryminalnej tzw. kripo. Przez mieszkańców getta to miejsce nazywane było czerwonym domkiem („Rote Haus”), zarówno ze względu na kolor cegły, jak i przeznaczenie – było to miejsce kaźni i tortur.

Niemiecka placówka kripo została powołana 19 maja 1940 roku pod nazwą Sonderkommando Getto. Od 1942 roku funkcjonowała jako Kriminalkommissariat Getto. Początkowo do kripo należało zwalczanie przemytu i przestępcanie, by osoby nieupoważnione nie wchodziły do getta ani nie opuszczały go. Stopniowo jednak głównym zadaniem stało się wykrywanie i odbieranie mieszkańcom ukrywanego mienia. Zaledwie w ciągu czterech miesięcy – od końca czerwca do końca października 1942 roku – hitlerowcy przejęli mienie wartości 586 tys. niemieckich marek. Wśród rzeczy skonfiskowanych mieszkańcom getta była biżuteria, waluta, kryształy, futra, dywany, tkaniny.

W kripo pracowało przeciętnie około 20 funkcjonariuszy, byli wśród nich Łódzcy Niemcy, którzy znali język polski i jidysz. Kripo korzystało też z sieci żydowskich konfidentów, którzy dostarczali niemieckim funkcjonariuszom informacje o tym, kto może mieć jeszcze ukryte kosztowności. Na parterze budynku zakwaterowany był oddział żydowskiej policji porządkowej, który pilnował aresztu. Było tam sześć cel ogólnych i jedna separatka.

Funkcjonariusze kripo mogli przeprowadzać rewizje o każdej porze dnia i nocy. Zeznania o miejscu ukrycia wartościowych przedmiotów wydobywali torturami i biciem. Czerwony domek stał się w getcie synonimem katowni, wejście tam było niemal równoznaczne ze śmiercią lub kalectwem. Najczęściej rodzina otrzymywała informację o nagłej śmierci krewnego.

Od 1943 roku kripo zostało związane organizacyjnie z gestapo i ścigało także przestępstwa o charakterze politycznym. Komisariat policji kryminalnej działał na terenie getta do końca wojny.

Budynek przetrwał wojnę bez uszczerbku i potem wrócił do pierwotnego właściciela, parafii kościoła Wniebowzięcia NMP.

Gestapo porządnie się bierze do Żydów w getcie. Aresztowano dziś wszystkich „wiadościarzy”, to znaczy takich, którzy słuchali radia i od nich pochodzily wiadomości polityczne w getcie. Siedzi już czterdzięci kilka osób. Podobno gestapo i kripo (Kriminalpolizei) przyjęły ostatnio moc nowych szpicli-Żydów. Należy się ich porządnie wystrzegać.

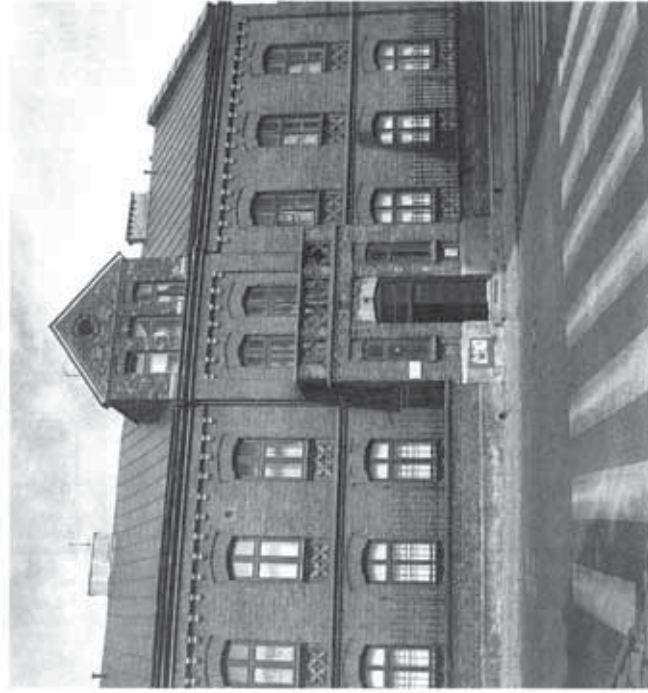
Dziennik Dawida Sierakowiaka, sobota, 21 czerwca 1941, s. 33.

Obowiązkim kripo było wszystko skonfiskować. No, ale przedtem należało się dowiedzieć, czy coś jest gdzieś ukryte i gdzie to jest ukryte. Metoda była tu jedna i w zasadzie niezawodna. Podejrzanego o zbrodnię ukrycia czegokolwiek wartościowego aresztowano, a następnie tak długo bito i torturowano, aż przyznał się, to znaczy powiedział, co i gdzie schował. Jeśli bowiem już nic nie miał, jeśli niczego nie ukrył, jeśli nikomu nie oddał na przechowanie złotej obrączki, futra czy sztuki wełny – nie było sposobu, by wyszedł z kripo żywy.

Arnold Mostowicz, Żółta gwiazda i czerwony krzyż, s. 23.

Tegoż dnia, bez opóźnienia, zajeżdżał na dziedziniec obozu samochód, z którego wysiedli Schwind i komendant kripo, Neuman, w mundurze SS. Po „słowicie wstępny” Schwinda, Neuman wygłosił krótkie przemówienie. Zarzucił nam, że nie pracujemy należycie i grabimy majątek getta, należący do władz niemieckich. Potem wystąpił Brauder i wymienił nazwiska dwóch osób, u których znaleziono „zrabowane” towary. Następnie Danciger wymienił nazwiska czterech Żydów sabotujących pracę. Neuman kazał wystąpić całej „niesumiennej” szóstce i oddał ich w ręce agentów kripo. Nasi nieszczęśliwi towarzysze zostali straceni w późnych godzinach wieczornych.

Jakub Poznanski, Dziennik z łódzkiego getta, 12 stycznia 1945, s. 261.



Uł. Kościelna 8/10, fotografia z roku 2004.

Bank Skupu Wartościowych Przedmiotów i Odzieży ul. Ciesielska (Bleicherweg)

W budynku przy ul. Ciesielskiej 7 Chaim Mordechaj Rumkowski uruchomił Bank Skupu Wartościowych Przedmiotów i Odzieży. Zaczął działać już 12 sierpnia 1940 roku. W przeciwieństwie do Banku Emisyjnego [patrz: ul. Marysińska s. 102], który zajmował się emisją pieniędzy gettowych, bank przy Ciesielskiej przede wszystkim skupował wartościowe przedmioty i pieniądze od mieszkańców zamkniętej dzielnicy. Za zagraniczne dewizy, złote monety, futra, pelisy, biżuterię, nawet obrazy i ubrania płacił markami gettowymi (tzw. „rumkami” bądź „chaimkami”), które nie miały żadnej wartości poza granicami getta. Przełożony Starszeństwa Żydów przekazywał zagrabione mienie niemiec-kiemu zarządowi getta. Pieniądże, które miały być ekwiwalentem przejętych towarów (na ogół były wyceniane dużo poniżej faktycznej wartości), były księgowane przez nie-miecką administrację na specjalnym koncie – Ernahrungskonto nr 700, z którego środki miały być przeznaczone na wyżywienie dla getta. Ogromne wpływy banku pojawiły się po przybyciu do getta Żydów z Europy Zachodniej. W krótkim czasie zostali pozabawieni drogocennych przedmiotów i musieli sprzedawać nawet osobiste rzeczy.

Obowiązek zgłaszania do skupu wszelkiego rodzaju futer został nałożony na mieszkańców ob-wieszczeniem pana prezesa nr 179 z dnia 17 grudnia ub. r. Termin pierwotnie ustalony na dzień 1 stycznia br., wskutek nawatu zgłoszeń, przedłużony został do 10 bm., przy czym po tym termi-nie, w myśl powyższego obwieszczenia, „wszelkie znajdujące się w posiadaniu osób prywatnych futra zostaną zarekwirowane”. Prowadzenia akcji skupu futer powierzone zostało Bankowi Przełożonego Starszeństwa Żydów, mieszczącemu się przy Ciesielskiej. W terminie do dnia 10 bm. Bank wypłacił z tytułu zakupionych futer sumę 350 tys. mk. liczba sprzedawców osiągnęła 3500 (w przybliżeniu). [...] W dniach największego nasilenia prac przez ręce fachowych rzeczo-znawców przewijano się przeszło 5 tys. sztuk.

Kronika getta łódzkiego, 12 stycznia 1941, t. 1, s. 7.



Najbardziej niesamowita jest jednak wyprzedaż prowadzona przez tych, którzy sami są już sprzedani. Takie groteskowe targowisko odbędzie się, być może, dopiero przy okazji następnego końca świata.

Prawie wszyscy trzymają w rękę jakieś ubranie lub buty. Albo sprzedają, albo dopiero co kupili. [...] Do wyjazdu zostało niecałe 48 godzin. Miejscowi wiedzą o tym bardzo dobrze. Na gwałt potrzebują oferowanych przedmiotów, ponieważ przez dwa lata pobytu w getcie zostali kompletnie ograbieni. Łakną butów, ubrań, bielizny. Każdy walczy ze swoim sumieniem. Ale w pośpiechu nie ma czasu na coś takiego jak wyrzuty sumienia. Ten idiotyczny pośpiech sprawia, że ludzie stają się szabrownikami wbrew własnej woli.

Ci, których się wyrzuca, wiedzą o tym doskonale, ale na zgłębienie własnych uczuć nie mają czasu. Tempo jest szalone. Przecież można zabrać tylko 12,5 kg bagażu. Rachunek jest prosty: ciepły koc, ubranie, para butów i trochę bielizny. Jak dobrze pójdzie, jeszcze jakiś garnek i naczynie do picia i ustalona waga 12,5 kg jest prawie przekroczona. A więc: należy pozbyć się balastu i wymienić niepotrzebne przedmioty na prowiant na drogę. Hasło to jest prawem tej okrutnej chwili. [...]

Trzeba przyznać, iż skup centralny płaci nowo wsiadłym lepsze ceny niż kto inny. Ludzie chętnie biorą tych ostatnich parę marek za resztkę swojego dobytku.

Oskar Singer, Przemierzając szybkim krokiem getto, s. 24

Za 130 tys. marek zakupiła Centrala Zakupu rzeczy od wsiadłych Żydów z Zachodu. Najwięcej sprzedawali oni przed wyjazdem bielizny pościelowej, kufrow i walizek. Odzież i bielizna osobistej znacznie mniej. Obuwia całkowicie nie głaszali.

Kronika getta łódzkiego, 19 listopada 1942, t. 2, s. 575

Bank wydawał dokumenty zwalniające futra od obowiązku sprzedaży i zatałwiał związane z akcją skupu futer formalności. Na razie skup innych przedmiotów jest wstrzymany do czasu skompletowania personelu rzeczoznawców branżowych. Bank przeprowadza inkaso należności od dłużników, znajdujących się w mieście (poza gettem) i w okolicy, na podstawie odpowiednich wniosków, wypłacając wpływy z tego tytułu odnośnym beneficjentom, przyjmując do wymiany czek, destrukty niemieckie, skupuje komisowo dewizy i waluty, zatałwia wpływy na tzw. konto 700.

Kronika getta łódzkiego, 13 stycznia 1941, t. 1, s. 10.

Ewentualne przedmioty, które znajdują się w posiadaniu osób przeznaczonych do wysiedlenia, które należy zostawić na miejscu, mogą zostać wystawione na sprzedaż w moim Banku, Bleicherweg 7. Biuro Wysiedleń znajduje się przy Fischerstrasse 8. W biurze tym udziela się wszelkich informacji dotyczących tej sprawy i przyjmuje podania oraz reklamacje.

Chaim Mordechaj Rumkowski, Przełożony Starszeństwa Żydów, 29 kwietnia 1942.



Wycena wartości przedmiotów w Centrali Zakupu.

Fabryka Glazera ul. Dworska 14 (Matrosengasse, dziś ul. Organizacji WIN)

Kamienica frontowa przy ulicy Dworskiej 14 (dziś ul. Organizacji Wolność i Niezawisłość), w której od jesieni 1940 roku mieściła się szkoła, nie przetrwała do dzisiejszych czasów. Tak jak i znajdujące się na jej tyłach fabryka. Od stycznia 1941 roku funkcjonowała tam wytwornia sukien i bielizny. W pamięci mieszkańców getta, a także wielu badaczy, pozostała ona jednak ważnym miejscem w topografii łódzkiego getta.

Fabryką wyrobów bieliźniarskich i sukien kierował Leon Glazer. Na początku 1941 roku w fabryce pracowało tylko 77 maszyn do szycia i 157 osób, ale z miesiąca na miesiąc liczby te rosły. W styczniu 1942 roku było już 800 maszyn, przy których na dwie zmiany pracowało ponad 1500 osób. Resort szył bieliznę damską i męską, a także dziecięcą stąd pochodzili eleganckie suknie i biustonosze, pościel i dodatki krawieckie. Odzież ta była dumą getta. Oprócz dorosłych w fabryce pracowało kilkaset dzieci. Szyły ubrania dla ludzi, ale też sukieneczki dla lalek, które wędrowały do niemieckich sklepów z zabawkami.

Fabryka Glazera i pracujące w niej dzieci pozostały zarówno na wielu archiwalnych fotografiach, jak i w literaturze. To tam powstała wspaniale ilustrowana „Bajka o królewiczu i cudownym kraju”, która opowiada historię dzieci z łódzkiego getta.

Przy dawnej ulicy Dworskiej stoją do dziś sąsiednie budynki, pod nr 10 i 16, gdzie także działały zakłady krawieckie. Przetrwał także bez uszczerbku katolicki kościółek w stylu zakopiańskim pod wezwaniem Dobrego Pasterza. Powstał w 1907 roku. Przez cały okres getta był zamknięty.



Fabryka Glazera, w tle kościół pod wezwaniem Dobrego Pasterza.

Getto było ogromnym obozem pracy, produkowano tam tysiące ubrań.



Powoli porządkowało się nasze codzienne życie. Otworzono nawet szkoły. Wszystkich dawniejszych uczniów gimnazjalnych zgromadzono w dużym gmachu przy ulicy Dworskiej, dyrektorką nielicznego grona pedagogicznego została pani Rein, uprzednio kierowniczka szkoły, do której zdałam egzamin. Zorganizowali się też na nowo chłopcy i dziewczęta należący do różnych organizacji syjonistycznych w Łodzi. Utworzyli oni drużynę Hachszary, praktycznego przeszkolenia rolniczego na polach Marysina.

Sara Zyskind, Skradzione lata, s. 30.

Zarejestrowałem się dziś w sekretariacie szkolnym na Dworskiej. Od niedzieli zostają już uruchomione klasy trzecia i czwarta z tej strony mostu na Marysinie, ulica Otylii 14. Liceum mieści się na Smugowej 6. Ma być też dożywianie w szkole, o czym dokładnie będzie wiadomo dopiero w piątek. Będę więc znów chodził do szkoły, o ile naturalnie nie będę miał zajęcia. Nie liczyłem już prawie na to. Nareszcie więc skończy się ta anarchia w zajęciach, a wraz z nią, mam nadzieję, zbytek filozofowanie i – co za tym idzie – depresja.

Dziennik Dawida Sierakowiaka, 22 kwietnia 1941, s. 14.

17 stycznia przypadła rocznica założenia wytwórni damskich sukien i bielizny przy ulicy Dworskiej 14. Przedsiębiorstwo popularnie zwane jest w getcie „resortem Glazera”. Wytwórnia ta w przeciagu roku z maleńkiej placówki pracy rozwinęła się imponująco. Zatrudnia obecnie półtoratysięczną rzeszę robotników. Z okazji rocznicy zorganizowana została na terenie przedsiębiorstwa wystawa modeli sukien i bielizny.

Kronika getta łódzkiego, 14-31 stycznia 1942, t. 1, s. 391.



Eleganckie ubrania szyte w getcie były sprzedawane w niemieckich sklepach.

Szkołka była jednym z oddziałów resortu Wasche und Kleider Abteilung, gdzie nie będzie głodu, ani „dziewczynki z załata się na ulicy Żydowskiej 19. Po likwidacji gimnazjum w 1941 roku, prezes getta Chaim Rumkowski zatroszczył się o młodzież i stworzył dla niej możliwość nauki przysposabiającej do pracy rzemieślniczej. Dla nas znaczyło to prawo do kawałka chleba i zupy. W tej oto szkółce uczono nas kroju i szycia. Stąd bierze się jej nazwa. Ale po skończonym kursie szyliśmy już, jak dorosli ludzie, dziecięce sukienki. Pamiętam jak dziś stopy tych małych sukienek z materiału we wzór pepito, czerwono-czarne z białym kołnierzykiem, gotowe już do prasowania. Te zamówienia niemieckich firm przyjmował Hans Biebow, naczelnik Gettoverwaltung. Dwa lata szyliśmy na akord systemem taśmowym ten sam model sukienki. Naszą grupę nadzorowała pani Kujawska. Potrafiła nam wiele wybaczyć i jak trzeba było poprawić. Pan Widawski, spec od koronek i kołnierzyków ułatwiał nam pracę. Rytmiczny turkot maszyn do szycia, opary prasowanych sukienek, rozwieszona płótna i strach przed nieukończoną produkcją, krążyły nad naszymi głowami jak widma. Ale nawet w tej atmosferze nędzy, głodu i chłodu nie wszystko nam Niemcy wydarli. Mogli nam zabrać kawałek chleba, zupę, ale nie mogli nas oskubać z naszych marzeń, fantazji dziecięcej. My, pełni śmiałych projektów, wyobrażeń, budowaliśmy w swoich wizjach, nowe królestwo. Królestwo sięgające



W fabryce Glazera prowadzono kursy kroju i szycia.

nieba, królestwo ziemi obiecannej, gdzie nie będzie głodu, ani „dziewczynki z załata się na ulicy Żydowskiej 19. Po likwidacji gimnazjum w 1941 roku, prezes getta Chaim Rumkowski zatroszczył się o młodzież i stworzył dla niej możliwość nauki przysposabiającej do pracy rzemieślniczej. Dla nas znaczyło to prawo do kawałka chleba i zupy. W tej oto szkółce uczono nas kroju i szycia. Stąd bierze się jej nazwa. Ale po skończonym kursie szyliśmy już, jak dorosli ludzie, dziecięce sukienki. Pamiętam jak dziś stopy tych małych sukienek z materiału we wzór pepito, czerwono-czarne z białym kołnierzykiem, gotowe już do prasowania. Te zamówienia niemieckich firm przyjmował Hans Biebow, naczelnik Gettoverwaltung. Dwa lata szyliśmy na akord systemem taśmowym ten sam model sukienki. Naszą grupę nadzorowała pani Kujawska. Potrafiła nam wiele wybaczyć i jak trzeba było poprawić. Pan Widawski, spec od koronek i kołnierzyków ułatwiał nam pracę. Rytmiczny turkot maszyn do szycia, opary prasowanych sukienek, rozwieszona płótna i strach przed nieukończoną produkcją, krążyły nad naszymi głowami jak widma. Ale nawet w tej atmosferze nędzy, głodu i chłodu nie wszystko nam Niemcy wydarli. Mogli nam zabrać kawałek chleba, zupę, ale nie mogli nas oskubać z naszych marzeń, fantazji dziecięcej. My, pełni śmiałych projektów, wyobrażeń, budowaliśmy w swoich wizjach, nowe królestwo. Królestwo sięgające

...to co, najlepiej pamiętam, to nasze kółko literacko-dramatyczne, w którym bratam żywy udział. Było nas jedenastoro dzieci, wszystkie z Wasche und Kleider Abteilung i raczej ze szkółki. Mieliśmy swoich wykładowców, gazetkę, tworzyliśmy ilustracje, afisze oraz teatrzyk. Leon Glazer, dyrektor naszego resortu, wyprosił u Rumkowskiego zatwierdzenie i poparcie tej naszej działalności. Spotkania odbywały się w soboty po obiedzie na Dworskiej 14, gdzie mieściła się centrala WuKA. Dla naszej jedenastki to było wielkie wyróżnienie. Przy każdym spotkaniu otrzymywaliśmy nawet bochenek chleba i kawał kielbasy. Nazywaliśmy te sobotnie spotkania po hebrajsku: Oneg Szabat (Radość sobotnia).

Ruth (Berlińska) Eldar, Wstrząsnąć filarami świątyni.

Obóz cygański (Zigeunerlager) ul. Brzezińska (Sulzfelderstrasse, dziś ul. Wojska Polskiego)

Późną jesienią 1941 roku w kwadracie dzisiejszych ulic Wojska Polskiego, Obronców Westerplatte, Sikawskiej i Głowackiego wyodrębniono tzw. obóz cygański. Było to jakby getto w getcie. Zamknięto tam ponad 5 tysięcy Cyganów: Romów i Sinty z Burgenlandu przywiezionych z pogranicza austriacko-węgierskiego.

To jeden z najbardziej tajemniczych rozdziałów w dziejach Litzmannstadt getto. Nawet sami Żydzi niewiele wiedzieli, kto tam został zamknięty, dlaczego i jaki był los tych, których potem wywieziono w nieznanym kierunku.

Obóz został zorganizowany na niewielkim obszarze 0,019 km kw. Z jednej strony graniczył ze stroną aryjską i był strzeżony przez funkcjonariuszy Schupo. Od strony getta był pilnowany przez policję żydowską. Został odgradzony podwójnymi zasiekami z drutu kolczastego, a z dwóch stron także głęboką – prawie dwumetrową – fosą (później zapaną z uwagi na groźbę runięcia kamienicy).

Wszystkie okna od strony zewnętrznej zabito deskami. Na teren obozu można było wchodzić tylko przez bramę przy ul. Brzezińskiej 88 (dziś Wojska Polskiego).

Cyganów przywieziono do Łodzi w bydlęcych wagonach w dniach 5-9 listopada 1941 roku. Wśród 5007 osób było 2689 dzieci. Mieszkali w strasznych warunkach. Na terenie obozu nie było latryn, łaźni, wody. Nie było kuchni, brakowało naczyń, nie było łyżek. Wkrótce wybuchła epidemia tyfusu, która zdiesiątkowała ludność, nie było kolejności dzieci. W ciągu siedmiu tygodni zmarło 719 Cyganów. Byli grzebani na terenie cmentarza żydowskiego w części kwater PV i PVI w zbiorowych mogiłach.



Kamienica na rogu ulic Brzezińskiej (Wojska Polskiego) i Towiańskiego (Obronców Westerplatte).



W obawie przed rozprzestrzenieniem się choroby obóz postanowiono zlikwidować. 5 stycznia 1942 roku nazisanci zaczęli wywozić mieszkańców do ośrodka zagłady w Chelmnie nad Nerem. Do 12 stycznia wszyscy zostali tam zamordowani.

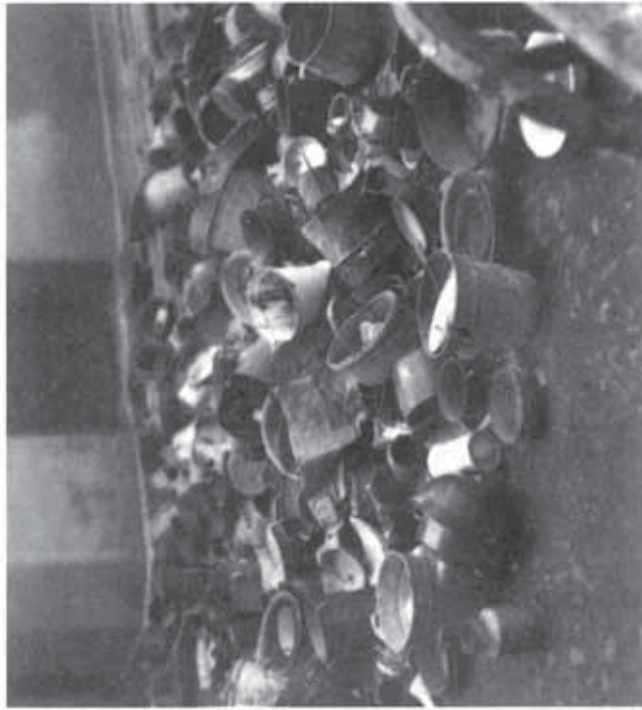
Nie wiadomo, kto trafił do tego obozu. Ponoć byli to przedstawiciele romskiej elity. Najpewniej była to cygańska arystokracja.

Do dziś stoją kamienie, w których Cyganie mieszkali, a nawet stara kuźnia, gdzie mieściła się kostnica. To na tym niewielkim budynku 10 stycznia 2004 roku odsłonięto pamiątkową tablicę. Napis jest po polsku oraz w językach romskim i angielskim. To jedno z nielicznych miejsc, o którym z całą pewnością można stwierdzić, że było świadectwem tragedii Romów podczas II wojny światowej. Najczęściej nazisanci mordowali Cyganów w lasach i nie zostawiali śladków. W Archiwum Państwowym w Łodzi zachowały się listy transportowe Romów przywiezionych w 1941 roku z pogranicza austriacko-węgierskiego do Litzmannstadt getto.

W getcie pojawiło się mnóstwo spekulacji na temat mieszkańców obozu cygańskiego. Część uważała, że to rzeczywiście są Cyganie, inni, że to węgierscy Żydzi. Jeszcze inni mówili, że to partyzanci i ich rodziny z Bałkanów.

Yankl Nirenberg, *Memoirs the Lodz Ghetto*, s. 42.

Pewnej nocy zajęchały przed obóz cygański samochody ciężarowe, na które załadowano wszystkich, zdrowych i chorych – i wywieziono. Niemcy nie robili nawet tajemnicy z losu, jaki spotkał mieszkańców obozu. Zresztą przed kim mieli robić tajemnicę? Przed innymi podludźmi, których czekała podobna przyszłość?



Po likwidacji obozu cygańskiego.

Wszystkich Cyganów wymordowano... Część wystrzelano, a część zagazowano w samochodach z rurami spalinyowymi wmontowanymi do wnętrza. Sposób ten wypróbowano już wcześniej na Żydach wysiedlonych z getta. Kamienie, które tworzyły obóz, wróciły do getta, czyli za pojedyncze druty kolczaste. Solidnie je później wydezynfekowano i kilkadziesiąt rodzin żydowskich, zanim i te zagazowano w Chełmnie lub w Oświęcimiu zamieszkało w ich świeżych wnętrzach. Jak się później w Wydziale Zdrowia dowiedziano, na decyzję wymordowania obozu cygańskiego wpłynął podobno fakt zwiększonej liczby zachorowań na dur płamisty w samej Łodzi. Tej aryjskiej, rzecz jasna. Ile w tym prawdy – trudno doćteć.

Arnold Mostowicz, Raport w sprawie Cyganów, Żółta gwiazda i czerwony krzyż, s. 32.

Nikt z tych Cyganów nie ocalał. Ich domy, po dezynfekcji, wróciły w obręb getta. Druty zwinęto, krew na ścianach zamalowano, żadnych śladów zbrodni... Wszyscy byliśmy wstrząśnięci.

Dwaj pierwsi, którzy wtedy weszli do tego cygańskiego obozu, Arie Princ, kierownik zakładu produkującego buty słomiane oraz Mendel Gross, fotograf [chodzi o Mendla Grosmana – przyp. jp] długo nie mogli otrząsnąć się ze zgrozy po przeczytaniu napisów, jakie Cyganie, po niemiecku, pozostawili na ścianach mieszkań. Świadczyły one zresztą o tym, że wśród tych Cyganów było wielu wykształconych, którzy już dawno porzucili koczowniczy tryb życia.

Sara Zyskind, Światło w dolinie łez, s. 92.



Obóz cygański, granica z gettem.

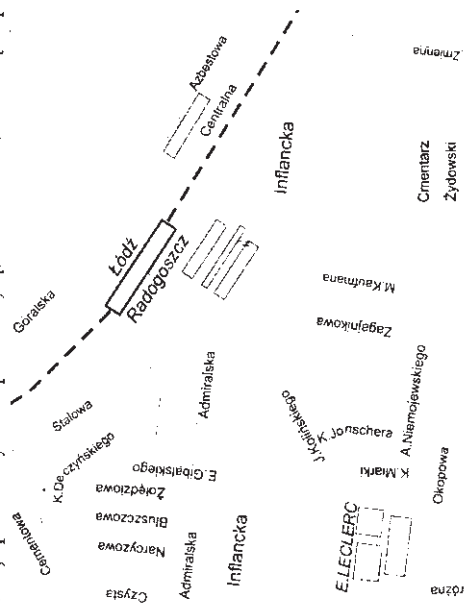
Stacja Radegast – bocznicą na Marysinie obecnie ul. Stalowa

To jeden z najważniejszych obiektów związanych z historią łódzkiego getta. Miejsce, z którego w latach 1942-1944 odjechały tysiące ludzi do ośrodka zagłady w Chełmnie nad Nerem, a w sierpniu 1944 do Oświęcimia. Mimo upływu dziesięcioleci do dziś przetrwał drewniany dworcowy budynek z rampą.

Stacja powstała jeszcze przed wojną, w 1937 roku, ale zaczęła spełniać swoją szczególną rolę od kwietnia 1940 roku, a głównie od chwili zamknięcia getta i odizolowania go od reszty miasta. Wkrótce okolice stacji zostały otoczone i otoczono zasiekami. Mieszkańców domów sąsiadujących z tym obiektem wywłaszczono i wysiedlono. Postawiono wartownie i magazyny, a także tor mijankowe.

Od 1940 roku na stację Radegast – przez mieszkańców nazywaną też bocznicą na Marysinie – przywożona była żywność i opał potrzebne gettu. Tędy docierały surowce do produkcji ubrań, butów, mundurów dla niemieckiej armii. Stąd wyjeżdżały również gotowe wyroby.

Od połowy 1940 roku wywożono tą drogą Żydów do obozów pracy w Poznańskim, a także do budowy węzła kolejowego Łódź-Olechów. Od 1941 roku na Radegast przywożono transporty Żydów z Europy Zachodniej, m.in. z Berlina, Pragi, Wiednia i Luksemburga, a także Cyganów z Burgenlandu. Potem także ludność żydowską z likwidowanych gett miast i miasteczek Kraju Warty.





Od stycznia 1942 roku ze stacji Radegast wyruszały transpory Żydów do obozów zagłady. Najpierw w kierunku północnym, do Chelмна nad Nerem, potem na południe – do Oświęcimia. Od wiosny do jesieni 1942 roku wywieziono z tego miejsca na śmierć ponad 70 tys. Żydów. Po półrocznej przerwie deportacje do Chelмна wznowiono. W czerwcu i lipcu 1944 roku wywieziono tam ponad 7 tys. osób. Prawie nikt nie ocalał. Od 9 sierpnia 1944 roku Żydów z łódzkiego getta wywożono do obozu w Oświęcimiu-Brzezince. Ostatni transport w tamtym kierunku wyruszył 29 sierpnia. Spośród ponad 70 tys. ludzi, którzy opuścili wówczas getto, przeżyło kilka tysięcy. Liczby podawane przez historyków są różne i wahają się od 5 do 15 tys.

Stacja Radegast to łódzki Umschlagplatz. Ten skromny budynek przy ulicy Stalowej był świadkiem ostatniej drogi wielu Żydów z Litzmannstadt getto, ale przez długi czas po wojnie o tym miejscu nie pamiętano.

Pod koniec 2002 roku Fundacja Monumentum Iudaicum Lodzense wystąpiła z projektem, by w tym budynku stworzyć muzeum łódzkiego getta. W 2004 roku zaczęto teren porządkować. Stacja Radegast ma stać się jednym z najważniejszych miejsc pamięci związanych z historią Litzmannstadt getto.



Droga na Radegast – ul. Jerozolimska (dziś Kolińskiego).

Z polecenia władz niemieckich Wydział Budowlany przystąpił do montowania wielkich baraków na dworcu radogoskiej bocznicy. Na ten cel dowożony jest gotowy materiał i praca polega tylko na stawianiu fundamentów i na montażu. Przestrzeń zajmowana przez baraki wynosi około 900 mkw. Baraki te stanowią będą składnicę dla materiałów i półfabrykatów, przywożonych do getta. Możliwe, że jest jeszcze i inny cel budowy tych baraków. Zachodzi prawdopodobieństwo, że baraki te w razie potrzeby będą wyzyskane jako miejsce koncentracji wysiedlanych czy przysiedlanych ludzi. Władze w ulymatywny sposób zażądały, aby budowa baraków ukończona została jeszcze w bieżącym miesiącu.

Kronika getta łódzkiego, 11 lipca 1942, t. 2, s. 129.

Kiedy otworzono bramy i wyszłam poza obręb getta, zamarto mi serce. Uważałam, że mam szczęście wyjeżdżając. Nasza droga wiodła wzdłuż torów. Kiedy to po raz ostatni widziałam pociąg? Gdyby tylko udało mi się dostać miejsce przy oknie, skąd mogłabym podziwiać szachownicę pól i mijane lasy, małe wioski, kręte strumyki i pasące się krowy [...]. Drząc z podniecenia, maszerowałam otoczona ze wszystkich stron ciżbą ludzką. Wuj, Salek, ciotka i ja szliśmy ramię przy ramieniu. Już słyszeliśmy sapanie lokomotywy, widzieliśmy kłębiącą się w górze parę. Ale co to takiego? To wcale nie pociąg pasażerski zbliżał się ku nam w kłębach pary, ale długi sznur wagonów towarowych do przewożenia bydła.

W każdym z wagonów u samej góry widniało małe, zakratowane okienko. Schwycił mnie w szpony przeraźliwy strach. Zobaczyłam żołnierzy brutalnie wypychających ludzi do pociągu. I dopiero wtedy, po raz pierwszy, przemknęło mi przez głowę, że Salek mógł mieć rację: nie powinniśmy opuszczać getta. Ale było już za późno.

Bydłce wagony zapelniano w przykładowym porządku. Dokładnie trzydziści dwie osoby do każdego, bez względu na to, czy jakiś dziecko, ojciec czy matka pozostali na zewnątrz. Błaganie nie odnosiły skutku. Z łaskotem zasuwanego żelazne drzwi, zabezpieczając je grubymi ryglami, na stopniach przepelnionych wagonów zasiadało po dwóch żołdaków z postawionymi bagnietami.

Pociąg zdawał się nie mieć końca, a przed nami ciągnęła się długa kolumna ludzi. Jak tylko zapelniano jeden wagon, przesuwalismy się ku następnemu. Zataśdunek przebiegał błyskawicznie. W miarę zamykania jednego po drugim wagonu zmniejszał się tłum.

Sara Zyskind, Skradzione lata, s. 161.



Budynek stacji Radegast w roku 2003.